



1(1)/2010

JAN ROKITA

Polska po Smoleńsku (analiza polityczna)

Katastrofa smoleńska przewróciła do góry nogami porządek na scenie polskiej polityki. Rozsypały się mało poważne wodewilowe dekoracje, zastąpione romantyczną scenografią z krzyżem w tle. Zmieniła się obsada: część ważnych postaci w dramatycznych okolicznościach opuściła scenę, pojawili się – przynajmniej drugoplanowi – aktorzy nowi (Jacek Michałowski, Marek Belka, Edmund Klich), a jeszcze inni zostali obsadzeni w całkiem nowych rolach (Bronisław Komorowski, Grzegorz Schetyna). Co szczególnie znaczące – polityczny spektakl zmienił swoją fabułę; zarówno monologi figur pierwszoplanowych, jak i sceny zbiorowe rozgrywają się obecnie albo wokół wątków nigdy bądź dawno nieobecnych (religia, wina czy śledztwo smoleńskie), albo znanych wprawdzie z przeszłości, lecz przybierających teraz nowe kształty i znaczenia (Rosja, pamięć, patriotyzm). Jednak pomimo tych niebagatelnych przeobrażeń, w pół roku po 10 kwietnia jedno jest w zasadzie pewne: w zmienionej

inscenizacji toczy się w istocie ten sam, co przedtem, spektakl. Jak dawniej nad całą sceną bezwzględnie dominują dwaj protagoniści, a istota ich niemal osobistej wojny o panowanie i prestiż w żaden sposób nie uległa zmianie. 10 kwietnia zmienił natomiast zasadniczo instrumentarium stosowane w tej wojnie. Pasuje jak ulał do tej sytuacji znana polityczna maksyma, iż musi się zmienić niemal wszystko, aby naprawdę nie zmieniło się nic. Polityka polska była przed Smoleńskiem i pozostaje nadal własnością Donalda Tuska i Jarosława Kaczyńskiego, ba... na dobrą sprawę była i jest ona zaledwie sceną dla ich osobistego sporu i namiętności. Co może najbardziej zdumiewające, w tę domową waśń mocniej niż przedtem zapędzone zostały emocje milionów obywateli, z – wydawać by się mogło – racjonalnym i praktycznym młodym pokoleniem na czele.

Bezpośrednio po 10 kwietnia powszechnie zinterpretowano niezwykle okoliczności tamtej tragedii jako znak. Całkiem naturalne, że w obliczu tajemnicy śmierci taką egzegezę zastosowali biskupi, często występujący w tamtych dniach. Niekiedy nawet można było odnieść wrażenie pewnej przesady w owym poszukiwaniu sensu, zwłaszcza gdy duchowni tłumaczyli w kazaniach głoszonych podczas kolejnych pogrzebów, jak wielkie dobro spływa w rezultacie katastrofy na Polskę. Samo uczestnictwo w bólu, wyzbyte wszelkiej hermeneutyki, czasem wydawało się stosowniejsze, zwłaszcza w obecności rodzin ofiar. Wyczuwając atmosferę chwili, wątek me-sjański podjęli jednak bardzo prędko politycy – także ci otwarcie nieprzyjaźni zmarłemu prezydentowi – a za nimi masowe media. Donald Tusk mówił, że „czegoś takiego świat nie widział”, odwołując się do poczucia wyjątkowości polskich ofiar w historii, a Bronisław Komorowski nazywał smoleńską wyprawę „pielgrzymką polskiej sprawy”, wprost czerpiąc z mickiewiczowskiej wyobraźni historycznej. Co istotne dla procesu politycznego – trochę podobnie jak po śmierci papieża – powszechnie wyrażano wtedy pragnienie naprawy polskiej polityki i odbudowy jakiejś głębszej, bliżej nieokreślonej formy narodowej jedności. Inny przeciwnik obu Kaczyńskich, profesor Ireneusz Krzemiński, uznawał, że 10 kwietnia urósł do postaci „figury narodowej”, która przewycięży dotychczasowy polski dyskurs publiczny, albowiem w końcu wszyscy zauważają, że

bez względu na to czy jesteśmy za takim czy innym rozwiązaniem, to mamy coś wspólnego w naszym ludzkim losie¹.

Dopiero znacznie później mocno poirytowany profesor Roman Kuźniar opisał tamten klimat, jako „nową formę politycznej poprawności, wymuszaną w obawie przed zlinczowaniem”². Ale Roman Kuźniar nie miał racji. U przeciwników Kaczyńskich tamten odruch wynikał nie z obawy linczu, ale u jednych z bardzo polskiego szczerego odruchu serca, u innych – z wyrachowania politycznego, które w uczestnictwie w zbiorowym uniesieniu kazało upatrywać najlepszej taktyki zyskiwania politycznego poparcia.

Dla chłodnego obserwatora było oczywiste, że iluzją jest powszechna zgoda co do treści smoleńskiego znaku. Z pewnym uproszczeniem można powiedzieć, że smoleńska hermeneutyka prędko rozjechała się na dwie narracje: pisowską i peowiacką. Ta pierwsza wzmacniała rodzącą się spontanicznie legendę zmarłego prezydenta. Narodziny romantycznej legendy nie wymagają wcale realnej wielkości czynów ani dokonań. Potrzebują tylko trzech okoliczności: po pierwsze – wielkiej sprawy, po drugie – odrzucenia i niezrozumienia jej bojownika za życia, a najlepiej jego nagłej i tragicznej śmierci, oraz po trzecie – cudu zwycięstwa z za grobu. Sylwetka duchowa Lecha Kaczyńskiego i jego styl działania, brutalne zachowania jego publicznych wrogów, a wreszcie czas i okoliczności tragicznego odejścia, spontanicznej żałoby i wawelskiego pogrzebu – wypełniły te warunki. Rzecz jednak w tym, że w krótkim czasie legenda okazała się także funkcjonalna politycznie. Tak jawne duchowe zwycięstwo z za grobu zmarłego prezydenta powinno bowiem znaleźć swoje polityczne dopełnienie, o które winni się zatroszczyć patrioci, którzy pozostali żywi. Co więc powinni zrobić? To jasne – zdemaskować, odsunąć od władzy i prestiżu krzywdzicieli prezydenta. W jakiś sposób trąbką wzywającą do boju stał się tekst-manifest opublikowany przez profesora Zdzisława Krasnodębskiego już cztery dni po 10 kwietnia, kończący się inwokacją skierowaną do przeciwników:

1 Wywiad z Ireneuszem Krzemińskim, „Rzeczpospolita” 13 kwietnia 2010.

2 R. Kuźniar, *Jak Powstanie Warszawskie*, „Kultura Liberalna” nr 80 (30/2010).

I wy miejcie odwagę pozostać sobą. Zróbcie kolejne „Szkło kontaktowe”, wyśmiejcie tę śmierć, wypijcie małpki. Gardzę wami. I jestem dumny, że Go znałem³.

Z romantycznej legendy rodził się właśnie nowy ideowy fundament dla pisowskiego radykalizmu. W kwietniu była to publicystyka. Ale pięć miesięcy później echo tamtego manifestu wzniesionego przez intelektualistę mocno zabrzmiało na terenie czystej polityki w wezwaniu przez Jarosława Kaczyńskiego po nazwisku pięciu czołowych działaczy PO z premierem i prezydentem włącznie do „zejścia raz na zawsze ze sceny politycznej”. Najwyraźniej to prawda, że idee mają konsekwencje.

Narracja peowiacka zaczyna się tworzyć również wkrótce po katastrofie, najpierw wokół kwestii wawelskiego pochówku prezydenta. „Nie ma żadnych przyczyn, dla których miałby spocząć wśród królów”⁴ – te słowa z protestacyjnego listu Andrzeja Wajdy, skierowanego do biskupów już 13 kwietnia, są pierwszym politycznym aktem uderzającym w legendę. Świadomie dysonansowy ton wystąpienia Andrzeja Wajdy przełamywał wcześniejszą harmonię żałobnych głosów, dawał najtwardszym przeciwnikom PiS oparcie i punkt odniesienia w chwili ich rozchwiania i rozterki – i co zasadnicze – brzmiał jak zachęta do podjęcia dawnej walki w nowych warunkach. Andrzej Wajda przejął na chwilę rolę rzeczywistych przywódców politycznych, którzy albo – jak premier – poddali się na jakiś czas językowi legendy, albo – jak Janusz Palikot – z konieczności na chwilę musieli zamilknąć. Po Andrzeju Wajdzie posypały się teksty publicystyczne, demonstracje, akcje on-line, łącznie z pospiesznie zbudowaną stroną internetową nienawawelu.pl. Co ciekawe, następstwo zjawisk było tu odwrotne niż u konkurencji: akcja polityczna przeciw pochówkowi wyprzedziła powstanie własnej interpretacji smoleńskiego znaku. Ale jej załączek był już w krótkim proteście reżysera: nie na Wawelu, bo nie jest przecież żadnym polskim bohaterem. Zmarły prezydent był w najlepszym razie lekomyślnym pięknoduchem, a w najgorszym niebezpiecznym dla

3 Z. Krasnodębski, *Już nie przeszkadza*, „Rzeczpospolita” 14 kwietnia 2010.

4 *Apel Andrzeja Wajdy: Wawel podzieli Polskę*, „Gazeta Wyborcza” 14 kwietnia 2010.

kraju awanturnikiem, wystawiającym w imię własnego ambicjonerstwa siebie samego, innych ludzi, a w ostatecznym rozrachunku Polskę na ustawiczne niebezpieczeństwa. Zginął sam przez swoją nieodpowiedzialność, ale swoim postępowaniem przyczynił się do śmierci wielu ludzi na smoleńskim lotnisku. Profesor Roman Kuźniar nie ma tu żadnych wątpliwości:

Jedyna racjonalna hipoteza mówi, że (piloci) podjęli ryzyko (lądowania) właśnie uwzględniając życzenie najważniejszych pasażerów lub tego jednego, najważniejszego. Stało się tak, jak w ukochanym przez Lecha Kaczyńskiego Powstaniu Warszawskim⁵.

A redaktor Jacek Żakowski stawia kropkę nad i:

Nie da się utrzymać absurdalnego kultu prezydenta, który poległ bohatersko, lecąc na rocznicę katyńskiej masakry. Raczej już wkrótce panować będzie racjonalny pogląd, że był to prezydent, który zginął na skutek, nazwijmy to, polskiej lekkomyślności. I miejmy nadzieję, że będzie to ostatni przypadek, który wpisujemy do tradycji polskich szarż na czołgi⁶.

Zapewne nieprzypadkowo dziennikarz w ostatnich słowach odwołuje się do słynnej, choć historycznie nieprawdziwej sceny z *Lotnej* Andrzeja Wajdy. W tym ujęciu 10 kwietnia powinien również być przez Polskę czytany jako znak. Znak, który jednak przy całej swej tragiczności winien pobudzić kolejną falę poczucia wstydu i śmiechu z pseudo-ułańskiej, głupiej, „kaczyńskiej” polskości. A stąd już tylko krok do żartów Władysława Bartoszewskiego o nekrofilii, a w wydaniu ludyczno-plebejskim – do ukrzyżowanego znacznie później przed pałacem prezydenckim pluszowego misia.

Był jednak moment rodzący nadzieję, iż polityka realna może podążyć na przekór logice konfrontacji dwóch posmoleńskich partyjnych hermeneutyk. Możliwość taka zdawała się otwierać w środkowej fazie prezydenckiej kampanii wyborczej, kiedy po dłuższym milczeniu Jarosław Kaczyński jako kandydat do prezydentury

5 R. Kuźniar, *Jak Powstanie Warszawskie*, art. cyt.

6 J. Żakowski, *Wehikuły awantur, szarże na czołgi*, „Kultura Liberalna” nr 80 (30/2010).

ogłosił, że kwestia reform państwa musi stać się bezwzględnym priorytetem polskiej polityki. W konsekwencji pojawiły się wielokrotne oferty kooperacji z rządem, nawet w bardzo wrażliwych obszarach polityki (np. zdrowia), zaś sam kandydat PiS usunął ze swej przedwyborczej agendy kwestię interpretacji 10 kwietnia oraz postulat rozliczenia smoleńskiej winy. „Już nie tylko wbrew sobie, ale wbrew regułom normalnej polityki” – zauważył Piotr Zaremba we wstępie do nowej biografii Jarosława Kaczyńskiego⁷. Bo też całkowita rezygnacja z podnoszenia w trakcie kampanii trzech zasadniczych kwestii spornych z obozem rządowym: biegu śledztwa smoleńskiego, polityki wobec Rosji, a także zaniedbań władz w ochronie przed powodzią (która – przypomnijmy – towarzyszyła kampanii) – sama z siebie była *sui generis* politycznym dziwologiem. W zdrowych demokracjach kampanie są przecież domeną namiętnych sporów, zaś rządzenie – ustawicznych kompromisów. Nie sposób dziś ocenić, w jakim stopniu Jarosław Kaczyński uległ presji wysuwanego przez przeciwników argumentu o „wyborczej grze trumnami”, w jakim został przekonany do marketingowej skuteczności takiej retoryki, w jakim zaś postanowił „na serio” wystawić na próbę premiera Donalda Tuska i sprawdzić realność choćby ograniczonej konsensualnej naprawy państwa. W każdym razie rezultat tego sprawdzenia prędko okazał się negatywny. Kiedy w Zakopanem kilkakrotnie nawoływał do „skończenia wojny polsko-polskiej” jego konkurent Bronisław Komorowski odpowiadał ironicznie:

Z satysfakcją przyjąłem wywieszenie przez Kaczyńskiego białej flagi w imieniu IV RP⁸.

Ale rozstrzygający pod tym względem okazał się ostatni odcinek kampanii przed pierwszą turą: najwyraźniej zaniepokojony skutkami nadmiernej przedwyborczej koncyliarności premier znowu oskarżył lidera opozycji o „dewastowanie polskiej polityki” i „zdobywanie władzy na fundamencie kłamstwa”⁹. I pewnie nie miałoby

7 P. Zaremba, *O jednym takim...*, Wydawnictwo Czerwone i Czarne, Warszawa 2010, s. 23.

8 *Relacja z przedwyborczego weekendu*, „Rzeczpospolita” 31 maja 2010.

9 *Przemówienie premiera Donalda Tuska podczas IV Konwencji PO*, „Rzeczpospolita” 28 czerwca 2010.

sensu przywoływanie tej retoryki, gdyby nie fakt, że ta zdecydowana interwencja Donalda Tuska na rzecz zaostrzenia konfliktu i wykluczenia wszelkich form przyszłej współpracy była rozstrzygająca dla późniejszego biegu zdarzeń. Wyrwanie polskiej polityki z obręczy posmoleńskiej logiki okazało się niemożliwe.

Jak zatem wygląda posmoleńska agenda polskiej polityki? Po rozstrzygnięciu wyborów prezydenckich jej centralnym punktem stała się kwestia smoleńskiej winy. Nic zresztą dziwnego, gdyby o owej winie można było w sposób empirycznie niepodważalny rozstrzygnąć – musiałoby to oznaczać decydujące zwycięstwo narracji jednej ze stron w przestrzeni publicznej, profitujące w praktyce przewagą w walce o społeczne poparcie i polityczne panowanie. Po stronie obozu władzy tezę główną postawił tu we właściwy sobie obrazowy i ostry sposób poseł Janusz Palikot, stwierdzając, że zmarły prezydent „ma krew na rękach”¹⁰. Pociągnięty za to oświadczenie do odpowiedzialności przed komisją etyki poselskiej wyjaśniał, że miał na myśli, „iż Lech Kaczyński jest winny tej tragedii w sensie moralnym”. Po stronie opozycji tezę o winie sformułował Jarosław Kaczyński. We wrześniowej mowie w kinie Palladium lider PiS precyzował winę pięciu polityków PO sprawujących kluczowe urzędy w państwie, jako „moralną i polityczną”, to jest taką, która winna być rozpatrywana odrębnie od kwestii winy kryminalnej, aby „nie zaciemniać odpowiedzialności”¹¹. Co do tezy pierwszej – rzecz jest do tej pory jasna. Wiedza dostępna dotąd w domenie publicznej nie uzasadnia takiego sądu, a hipoteza oparta jest o słynny precedens sporu prezydenta z pilotem podczas niedoszłego lądowania samolotu prezydenckiego w Tbilisi. Co więcej – wina moralna wymaga złej intencji, której nie sposób tutaj nawet logicznie przypuścić. Bardziej kłopotliwa jest ocena tezy drugiej. Jarosław Kaczyński – świadomie bądź nie – nawiązuje do subtelnych rozróżnień rodzajów winy, sformułowanych przez Karla Jaspersa, dowodzącego swoim rodakom po II wojnie światowej, że „ponosić odpowiedzialność (polityczną) to nie znaczy poczuwać się do moralnej winy”. O ile zatem propagandowym nadużyciem wydawać się może teza o moralnej odpowiedzialności przywódców PO za katastrofę (kwestia

10 Wypowiedź dla TVN 24, 5 lipca 2010.

11 *Relacja Pawła Wrońskiego*, „Gazeta Wyborcza” 11 września 2010.

ta zresztą wykracza poza obszar analizy politycznej), o tyle twierdzenie o ich winie politycznej zasługuje na poważne rozpatrzenie. „Działacze polityczni, gdy im się nie powiedzie, zwykli się potem usprawiedliwiać, ale w działalności politycznej taka obrona nic nie znaczy” – pisał Karl Jaspers¹². Tymczasem, bez względu na przyszłe ustalenia polskiego śledztwa, nie ulega dziś wątpliwości, że szczegóły techniczne i organizacyjne podróży prezydenckiej delegacji do Rosji były zaniedbane tak po stronie rządu polskiego, jak i rosyjskiego, a prokurator generalny publicznie rozważał nawet możliwość postawienia z tego tytułu zarzutów kryminalnych. Zapewne nigdy nie uda się rozstrzygnąć, w jakiej mierze sprawił to odkrywany *post factum* chaos organizacyjny służb po obu stronach, w jakiej zaś uwypuklana dziś przez PiS niechęć i lekceważenie tej wizyty przez oba rządy, co – według rozpowszechnionego przez tę partię memoriału –

demobilizowało polskie instytucje odpowiedzialne za szeroko rozumianą ochronę głowy państwa oraz sprzyjało lekceważeniu standardów bezpieczeństwa przez instytucje innych państw¹³.

Faktem jest, że w plebejskiej wersji legendy zmarłego prezydenta silnie obecny jest wątek spisku i zamachu, podobnie zresztą jak w ludowym micie śmierci Władysława Sikorskiego. Ale nie wydaje się zasadny zarzut postawiony Jarosławowi Kaczyńskiemu w głośnej polemice przez redaktora Arkadiusza Lisickiego, jakoby ów dla upowszechnienia mitu brata-bohatera konstruował tezę o winie liderów PO za zamach albo „prawie zamach”. Ostre w tonie oskarżenia lidera PiS dotyczą odpowiedzialności politycznej (co zrozumiałe) i moralnej (co wydaje się i tak być wystarczającym nadużyciem, stosowanym zresztą nagminnie w kiepskiej, ale nieustannie moralizatorskiej polskiej debacie politycznej). Jeszcze inną kwestią jest to, że konkluzje Jarosława Kaczyńskiego co do kształtu owej odpowiedzialności politycznej pozbawiają jego politykę cennego waloru realizmu i narażają na gesty lekceważenia z drugiej

12 K. Jaspers, *Zróżnicowanie niemieckiej winy*, „Po upadku III Rzeszy”, wybór i wstęp J.W. Borejszo, S.H. Kaszyński, Czytelnik, Warszawa 1981.

13 Memoriał *Polityczne tło katastrofy smoleńskiej*, <http://www.pis.org.pl/article.php?id=17718> (dostęp: 13.09.2010).

strony. „Zostawiam go w świętym spokoju razem z jego ponurą namiętnością” – reaguje premier na żądanie „raz na zawsze zejścia ze sceny” samego siebie i swoich głównych współpracowników, świadom przecież posiadania zaufania mniej więcej połowy społeczeństwa¹⁴. Choć zapewne z perspektywy samego lidera PiS polityczna racjonalność owego żądania polega na tym, że ponawiane wielokrotnie co najmniej do przyszłych wyborów, ma być jak kropla, która draży skałę, aż któregoś dnia ta niespodziewanie się osunie.

Na poczesnym miejscu posmoleńskiej agendy znalazło się także śledztwo w sprawie katastrofy, a ściślej mówiąc rosyjskie śledztwo coraz mocniej wpływające na kształt krajowej i zagranicznej polityki. W zasadzie nikt nie podtrzymuje już publicznie tezy o całkowitej jego prawidłowości, a też początkowe deklaracje zaufania przywódców państwa do rosyjskich działań i ustaleń są dzisiaj o wiele ostrożniejsze: w kwietniu premier Donald Tusk zapewniał o „pełnej kontroli” nad nimi, w sierpniu mówił o „drobnym kryzysie” w śledczej współpracy. W domenie publicznej znalazło się kilka setek eksperckich analiz albo dziennikarskich ustaleń poddających w wątpliwość dobrą wolę, profesjonalność albo nawet rzetelność rosyjskiego śledztwa. Począwszy od irracjonalnej, wielomiesięcznej niezdolności Rosjan do zabezpieczenia miejsca katastrofy i wraku samolotu (jego szczątki przywiozła polska wycieczka szkolna i zakonnica do sukienki Matki Boskiej Częstochowskiej), aż po dość wiarygodne rozbieżności pomiędzy ustaleniami przedstawionymi w raporcie rosyjskiego MAK a ujawnionym zapisem rozmów w kabinie pilotów (co do kluczowej okoliczności wielokrotnych zaleceń smoleńskiej wieży lądowania na lotnisku zapasowym). Nieufność pogłębiała głoszona na wyrost zaraz po 10 kwietnia stanowcza rosyjska teza o wyłącznej winie i nieodpowiedzialności pilotów. W wewnątrzpolitycznym sporze okoliczności te coraz mocniej podsycają zarzut wobec rządu, iż lekkomyślnie, dla chwilowego spektaklu przyjaźni Dnalda Tuska z Władimirem Putinem nie zadbał zaraz po katastrofie o to, aby śledztwo znalazło się w rękach polskich. Sam premier Donald Tusk i jego rzecznik bronili się wielokrotnie przed tym zarzutem w mało przekonujący sposób, używając mocno nieoczywistych argumentów prawno-proceduralnych. W rzeczywistości

14 Konferencja prasowa premiera Donalda Tuska, TVN 24, 15 września 2010.

bowiem nie istnieją jednoznaczne procedury międzynarodowe dla tak ekstremalnych przypadków, zaś nieliczne historyczne precedensy (np. wypadek amerykańskiego ministra w Chorwacji) zdają się nie tworzyć jednolitych reguł. W tych warunkach decyduje polityka i skala determinacji. Można więc tylko sformułować istotną wątpliwość, czy przy hipotetycznym założeniu, iż Rosjanie chcą zafałszować bieg śledztwa albo ukryć błędy i nadużycia własnych służb podczas lądowania prezydenckiego samolotu, dochodzenie prowadzone na terenie Rosji przez polskie służby bezpieczeństwa miałyby większe szanse na ustalenie prawdy. Wydaje się to mało prawdopodobne. Pewne jest natomiast, że państwo polskie wzięłoby pełną odpowiedzialność za ich treść. Z tego punktu widzenia przyjęty model uczestnictwa polskich specjalistów i prokuratorów jako uczestników i obserwatorów, bez odpowiedzialności za ustalenia wydaje się być bezpieczniejszy. Pozwala bowiem przynajmniej – wprawdzie ze spóźnieniem – samodzielnie weryfikować krok po kroku to wszystko, co ustalają rosyjskie służby.

Ale śledztwo smoleńskie ma przede wszystkim wymiar międzynarodowy: coraz mocniej określa jakość polsko-rosyjskich stosunków politycznych. Problem w tym, że 10 kwietnia wydarzył się w chwili, gdy Władimir Putin i Donald Tusk zaplanowali właśnie spektakularne przełamanie wieloletniego politycznego impasu. Krótco wcześniej Polska otrzymała kontrowersyjne propozycje powrotu do wspólnych manewrów wojskowych i szkolenia oficerów polskich w rosyjskich ośrodkach. Zapraszając Donalda Tuska do Katynia, Władimir Putin za jednym zamachem zrobił spektakularny gest w stronę Polaków i zręcznie zaingerował w polski konflikt wewnętrzny po stronie premiera, przeciw prezydentowi. Nawiasem mówiąc, tego właśnie – i trudno się dziwić – ludzie PiS nie są w stanie wybaczyć Donaldowi Tuskowi. Nikt już dziś nie pamięta głosów najpoważniejszych europejskich gazet, które zaraz po 10 kwietnia zgodnie przepowiadały nieuchronny polsko-rosyjski posmoleński kryzys. Nieoczekiwanie stało się odwrotnie, za sprawą spektakularnych gestów obu rosyjskich przywódców, ich ciepłych słów i smutnych twarzy, połączonych z pojednawczym i niekonfliktowym stawianiem sprawy śledztwa przez Donalda Tuska. Na jak długo?

Zdecydowany zwolennik polsko-rosyjskiego „resetu” Zbigniew Brzeziński rozsądnie zdefiniował interesy obu stron w tym procesie.

Dla rosyjskiego interesu narodowego konflikt, który utrudnia Rosjanom dostęp do UE, jest niekorzystny. Dla Polski z kolei ważne jest to, aby poprawa wzajemnych stosunków pociągnęła rewizję zasadniczych założeń rosyjskich, dotyczących relacji pomiędzy Moskwą a dawnymi członkami ZSSR¹⁵.

Słowa amerykańskiego polityka można traktować jako dość beznamiętny opis symetrycznego układu interesów. W realnej polityce jednak owa symetryczność nie zaistniała. W okresie posmoleńskim Rosjanie z powodzeniem izolowali Gruzję, dali skuteczne wsparcie obozowi promoskiewskiemu w Mołdawii, dyscyplinowali Białoruś, a przede wszystkim spektakularnie odbudowywali wpływy na Ukrainie. Geopolityczne sukcesy dały im poczucie większej pewności w stosunkach z Europą. W tym samym czasie nowy prezydent Polski w sposób zwracający uwagę zignorował kwestię państw postsowieckich w pierwszym programowym orędziu, a w Paryżu nieoczekiwanie poparł precedensową sprzedaż ofensywnej broni Rosjanom przez Francję. W nowej umowie gazowej (przez pryorządową „Gazetę Wyborczą” nazwanej „lex Gazprom”) rosyjski koncern otrzymał od wicepremiera Waldemara Pawlaka

monopol na tranzyt gazu rurą jamalską przez Polskę i ulgowe opłaty za tranzyt gazu wyliczane w nieprzejrzysty sposób¹⁶.

Przy okazji historia zadrwiła sobie z niekonsekwencji polskiej polityki: Komisja Europejska wystąpiła w związku z tą umową z zarzutami wobec Polski, stosując ten sam argument, jakiego Polska używała całkiem niedawno w Brukseli, postulując europejską wspólną politykę energetyczną: że nikt w Unii nie powinien z przyczyn politycznych dawać na własną rękę Gazpromowi rynkowo nieuzasadnionych przywilejów. Być może najciekawszy, a z pewnością najgłośniejszy stał się *casus* zatrzymania przez władze polskie i zażądania 40-dniowego sądowego aresztu ekstradycyjnego dla przywódcy czeczeńskich władz emigracyjnych Ahmeda Zakajewa. Dotąd bowiem sytuacja Ahmeda Zakajewa, często przybywającego

15 Wywiad ze Zbigniewem Brzezińskim, „Rzeczpospolita” 24 maja 2010.

16 A. Kublik, *Bruksela: Lex Gazprom w Polsce nie przejdzie*, „Gazeta Wyborcza” 8 września 2010.

do Polski i występującego tu publicznie, nie budziła zastrzeżeń polskich władz¹⁷. W sytuacji posmoleńskiej rosyjski test na to, czy i w jakim stopniu można silną i upublicznią presją zmienić kształt polskiej polityki, wypadł pozytywnie. Nie trzeba wielkiej politycznej wyobraźni, by dostrzec, że rząd Donalda Tuska zrobił sobie niebagatelny kłopot na przyszłość: skoro bowiem presja wywiera jednak skutek, następnym razem zastosowana zostanie zapewne presja silniejsza. Także w tym przypadku nastąpiło dość zabawne odwrócenie tradycyjnych ról odgrywanych dotąd przez rząd polski i Komisję Europejską. Zaraz po zatrzymaniu Ahmeda Zakajewa ta bowiem uznała za stosowne przypomnieć Warszawie, że

otrzymanie międzynarodowej ochrony daje te same prawa, jakie mają obywatele kraju, który udzielił azylu i ochrony międzynarodowej¹⁸.

Czyli, że Polska ma traktować posiadającego brytyjski azyl Czeczena, jak gdyby był Brytyjczykiem.

Kłopoty ze śledztwem i wrak leżący od dawna „jak kupa śmieci”¹⁹ przekształcają się coraz bardziej w symbol fiaska nowej polityki wschodniej. Dla obozu Jarosława Kaczyńskiego to dobry powód dla formułowania nieracjonalnych żądań (zerwanie umowy gazowej i zwrócenie się do Niemiec o dostawy) albo ekstremalnych ocen („rosyjsko-niemieckie kondominium”). Ale dla premiera i jego ekipy to narastający kłopot i coraz większy dylemat. Z jednej bowiem strony – na użytek konfliktu wewnętrznego i sporu dwóch smoleńskich narracji – rosyjska wersja zdarzeń jest mu wygodna, gdyż pozwala stronnikom PO snuć nieskończone przypuszczenia o smoleńskiej winie zmarłego prezydenta. Z drugiej jednak strony

17 „Ta sprawa nas nie dotyczy. Zakajew przybył do Polski jako osoba prywatna” – oświadczenie rzecznika MSZ z grudnia 2007, przypomniane obecnie przez redakcję portalu wPolityce.pl, por. http://www.wpolityce.pl/view/1964/_Ta_sprawa_nas_nie_dotyczy__Ahmed_Zakajew_przybyl_do_Polski_jako_osoba_prywatna___rzecznik_MSZ_broniac_Zakajewa_przed_Rosjanami__Dwa_i_pol_roku_temu_.html (dostęp: 17.09.2010).

18 Oświadczenie rzecznika komisarza ds. wewnętrznych Michele Cercone, serwis PAP, 17 września 2010.

19 *Wstrząsające zdjęcia ze Smoleńska: części TU 154 jak kupa śmieci*, okładka „Gazety Polskiej” nr 37/2010.

obrona postępowania władz rosyjskich narażać go będzie na coraz większe rozmijanie się z powszechnymi opiniami. Jeżeli więc Moskwa nie powróci przynajmniej do kwietniowej polityki empatii i gestów, premier stanie przed niebłahym dylematem: uznać bezwzględny prymat logiki walki z Jarosławem Kaczyńskim i brnąć w niesymetryczną politykę rosyjską albo otwarcie postawić się Władimirowi Putinowi i zaryzykować fiasko rosyjskiego „resetu”. Na dodatek w pierwszym przypadku wcześniej czy później rozminie się z powracającą w Polsce nieufnością wobec Rosji, w drugim – skazany będzie co najmniej *implicite* uznać choćby częściowe racje zwalczającej jego politykę wschodnią opozycji.

Najbardziej nieoczekiwanie 10 kwietnia wprowadził na agendę polskiej polityki kwestię religii i świeckości państwa. Tego nikt nie przewidział i chyba przewidzieć nie mógł. W jakimś sensie zadecydował o tym przypadek: krzyż, czyli najważniejszy znak chrześcijaństwa, stał się nagle także centralnym symbolem posmoleńskiego politycznego sporu. W trakcie widowiskowego konfliktu przed pałacem prezydenckim nastąpiła podwójna transpozycja publicznego sensu ustawionego tam krzyża. Postawiony z początku przez harcerzy dla upamiętnienia ofiar, jako zwyczajny w Polsce znak religijnej wiary w zwycięstwo nad śmiercią, stawał się coraz bardziej miejscem politycznego kultu Lecha Kaczyńskiego, ogniskującym coraz mocniej partyjne, antyplatformowe zbiorowe namiętności. Pewnie wbrew swoim intencjom to właśnie zjawisko pokazał głośny film Jana Pospieszalskiego. W tej nowej politycznej roli krzyż zaczął przeszkadzać obozowi Donalda Tuska, tym bardziej, że do pałacu miał się właśnie wprowadzać nowy lokator z PO. Prezydent Bronisław Komorowski najwyraźniej poirytowany koniecznością przemykania się do swego pałacu bocznym wejściem zapowiedział więc zamiar usunięcia krzyża, na co PiS natychmiast zareagował pryncypialną jego obroną. Do zachowania prezydenta próbowano później dorobić ideologię wyrachowanej prowokacji. Bezasadnie. Bronisław Komorowski bezmyślnie nie przewidział skutków swojego postępowania, co przyznała nawet Hanna Gronkiewicz-Waltz delikatnie nazywając je „nieostrożnym”²⁰. „Atak na krzyż” i „obrona krzyża” zadziały jak rozlanie benzyny: krzyż przed pałacem

20 Wywiad z Hanną Gronkiewicz-Waltz, „Kropka nad i” 6 września 2010.

stał się ogniskiem przyciągającym już nie tylko partyjnych zelo-
tów, ale także fanatyków religijnych i antyreligijnych. Tu właśnie
nastąpiła druga transpozycja jego znaczenia: dalsza obecność bądź
usunięcie krzyża sprzed pałacu stało się miernikiem statusu reli-
gii i Kościoła we współczesnej Polsce, barometrem – jak to nazwa-
no – stopnia „polskiego zapateryzmu”. Dalej już były tylko tego
konsekwencje: po jednej stronie bójka jednocześnie w imię Chry-
stusa i Lecha Kaczyńskiego z policją, po drugiej – krzyżowanie plu-
szowego misia i oddawanie moczu pod krzyżem. A także szef SLD
w trosce o świeckość państwa proponujący zamianę szkolnych klas
do nauki religii w sale komputerowe. Politycy po obu stronach, jak
uczniowie czarnoksiężnika, nie chcieli ani nie zamierzali rozpętać
tego konfliktu. Ale logika wojenna zazwyczaj pozbawia wyobraźni
skutków własnego działania.

Takie przemieszanie znaczeń krzyża przed pałacem wprowa-
dziło w konfuzję większość istotnych aktorów na scenie publicznej.
Premier, który zapewne chętnie usunąłby irytujący znak zwycię-
stwa z za grobu Lecha Kaczyńskiego, ani myślał przewodzić wal-
ce z symbolem religijnym. Toteż państwo nie wyegzekwowało siłą
decyzji Bronisława Komorowskiego, a obóz PO zaczął poszukiwać
innej, chytrzejszej drogi załatwienia problemu, takiej jak inicjatywa
rodzin nie-pisowskich ofiar uroczystego, pielgrzymkowego zabran-
nia krzyża do Smoleńska. Z kolei biskupi, nawykli do obrony pub-
licznej obecności najważniejszego znaku chrześcijaństwa, partyjnie
podzieleni, tym razem nie chcieli zostać duchowymi protektorami
partyjnego godła PiS. Trzeba przyznać, że episkopat jako zbioro-
wość znalazł z tej sytuacji dość racjonalne wyjście: propozycję zgod-
nego wzniesienia pomnika zmarłemu prezydentowi i oddzielenia
w ten sposób kwestii politycznej i religijnej. Oczywiście słabością ta-
kiego projektu było jednak to, że, na przekór realiom, zakładał on po
którejkolwiek ze stron politycznego konfliktu chęć zgodnego z dru-
gą działania. Natomiast obóz Jarosława Kaczyńskiego stanął wobec
problemu poważnego wewnętrznego ideowego pęknięcia: na tych,
którzy z prezesem na czele gotowi nieco po józefińsku potraktow-
wać krzyż jako *sui generis* zakładnika w walce o swoją wizję smo-
leńskiej prawdy, i tych, dla których polityczny spór o 10 kwietnia
schodzi na drugi plan wobec niebezpiecznej szarzy wyznawców la-
ickiego państwa i antyreligijnej kultury. To pęknięcie zaowocowało

zaskakująco ostrym, „rodzinnym” nieporozumieniem pomiędzy liderem PiS i szefem „Rzeczypospolitej”. Paweł Lisicki – polityczny zwolennik PiS, ale przede wszystkim konserwatywny rycerz w walce o religijny wymiar kultury – zarzucił Jarosławowi Kaczyńskiemu „przyczynianie się do wzrostu siły radykalnej, antychrześcijańskiej lewicy”²¹. Krzyżowej konfuzji nie widać w zasadzie tylko na lewicy. Jak zwykle bezceremonialny Jerzy Urban oświadcza:

Ja uważam, że ta wojna jest bardzo pożyteczna i należy ją podjudzać, ponieważ siły wiary katolickiej, siły boże, siły tradycyjnie narodowe w tej wojnie przegrywają²².

Fakt, że w końcu pewnego poranka współpracownicy prezydenta bezceremonialnie wzięli krzyż pod pachę i zanieśli do pałacu, w sposób oczywisty zamknął tylko pewien etap politycznego konfliktu o krzyż, ale przecież nie jego istotę.

Publiczna debata i polityczny konflikt wokół smoleńskiej winy, Rosji i zapateryzmu niemal w całości wypełnił agendę polskiej polityki pomiędzy kwietniem a wrześniem. Chwilową zmianą scenerii była tylko gwałtowna, ale krótkotrwała kontrowersja na temat tego, kto jest prawowitym właścicielem dziedzictwa ruchu „Solidarności”, z zaczepno-prowokacyjnym udziałem obu protagonistów: Donalda Tuska i Jarosława Kaczyńskiego. Obaj przybyli na rocznicowy zjazd związku „Solidarność” z jasno określonym i podobnym celem: pierwszy – by poinformować zgromadzonych, że nie są prawdziwą „Solidarnością”, bo żyją nienawiścią, drugi – w celu przypomnienia, że wspierający dziś Donalda Tuska inteligenccy eksperci z czasów strajku 1980 roku, w istocie próbowali wtedy zapobiec powstaniu niezależnego od komunistów związku. Stosunkowo niewielkie znaczenie tej kontrowersji dla realnej polityki – pomimo jej spektakularnej gwałtowności – wynika po części z faktu, że waśń o symboliczną własność Wielkiego Sierpnia stała się od wielu lat czymś na kształt polskiego sierpniowego rytuału, corocznie otwierającego nowy sezon polityczny.

21 P. Lisicki, *Polska droga do zapateryzmu*, „Rzeczpospolita” 6 sierpnia 2010.

22 *Wywiad z Jerzym Urbanem*, „Wprost” nr 38, 19 września 2010.

Łatwo zauważyć, że poza głównymi wątkami politycznego sporu pozostawały w zasadzie wszystkie kwestie klasycznej polityki wewnętrznej i gospodarczej, i to mimo powszechnej świadomości pogłębiania się kryzysu finansów państwa. Ten wątek próbowali bez powodzenia wnosić na agendę polityczną eksperci. Profesor Leszek Balcerowicz na przykład zwołał konferencję prasową, aby przypomnieć, że

poziom wydatków publicznych należy w Polsce do najwyższych w naszym regionie (po Słowenii, Węgrzech i Czechach), co skutkuje zarówno wysokimi podatkami, jak i dużym deficytem i mamy najwyższy po Węgrzech dług publiczny²³.

Janusz Jankowiak przestrzegał przed pogłębiającą się instytucjonalną destrukcją Rady Polityki Pieniężnej²⁴, zaś Krzysztof Rybiński zorganizował nawet coś na kształt prywatnej kampanii medialnej, w bardzo ostrych słowach piętnującej rząd za niekontrolowane zadłużanie kraju („To nie jest przyjazne państwo, to nieprzyjazne draństwo”)²⁵. Można jednak było odnieść wrażenie, że jedynym niebezpośrednim przeciwnikiem w dyskusji z ekonomistami jest związek „Solidarność”, tylko we wrześniu czterokrotnie demonstrujący przeciwko rządowym planom podwyżki podatku VAT i akcyzy oraz zamrożenia płac w sferze budżetowej. Sam premier wypowiedział się dość lekceważąco o radach ekonomistów sugerujących tak zwane „trudne reformy”. Zresztą ani ogłoszony w Krynicy przez minister Ewę Kopacz plan reform rynkowych w służbie zdrowia (tak po stronie ubezpieczycieli, jak i – choć dopiero po roku 2018 – po stronie świadczeniodawców), ani powracający ciągle plan zmian konstytucyjnych ograniczających rolę prezydenta również nie wpływały na kształt bieżącej polityki zapewne, dlatego że powszechnie traktowane są ciągle jako plany mało realne. Coś

23 *Dokąd zmierzają finanse publiczne w Polsce*, http://www.wpolityce.pl/view/993/Dokad_zmierzaja_finanse_naszego_panstwa__Wazna_analiza_FOR_Leszka_Balcerowicza.html (dostęp: 10.08.2010).

24 Por. J. Jankowiak, *Droga Rada bez wiarygodności*, http://wyborcza.biz/biznes/1,101562,8325743,Droga_Rada_bez_wiarygodnosi.html (dostęp: 01.09.2010).

25 *Wywiad z Krzysztofem Rybińskim*, „Gazeta Wyborcza” 10 września 2010.

istotnego o polskiej polityce wydaje się mówić fakt całkiem anegdotyczny. Popularny muzyk Paweł Kukiz, zniecierpliwiony nieznośnym deficytem realnej polityki państwowej, upowszechnia właśnie ułożony przez siebie protest song, przekonujący o bezwzględnej konieczności przebudowy skostniałej i nieefektywnej Komendy Głównej Policji²⁶. O reformach państwa nie debatuje się więc w parlamencie, ale zaczyna śpiewać na koncertach rockowych.

Istota wpływu 10 kwietnia na realia polskiej polityki tkwi w tym, że – stosując termin profesora Ireneusza Krzemińskiego – nie złożył się on w jedną „narodową figurę”, ale rozpadł na dwie, konkurencyjne i wrogie nawzajem. Na dodatek – obie odwołujące się do sfery historycznych rekwizytów sporu o polskość. Te dwie figury obsługują dzisiaj symbolicznie i emocjonalnie stary konflikt Donalda Tuska z Jarosławem Kaczyńskim, w nowej posmoleńskiej inscenizacji. Co więcej – wyostrajają ów spór i wprowadzają doń dodatkową zaciętość, zmniejszając szanse na wszelką racjonalizację tak debaty publicznej, jak polityki państwowej. Po 10 kwietnia namiętność zepchnięcia głównego rywala z politycznej sceny stała się jedyną wielką siłą sprawczą polskiej polityki, w stopniu jeszcze silniejszym niż poprzednio. A nowe posmoleńskie wątki, jakie stanęły na agendzie politycznej, stały się dla obu stron niczym więcej, jak arsenałem udoskonalonych środków wzajemnego rażenia. Dlatego z dzisiejszej perspektywy trudno doprawdy dopatrzeć się jakiegos rzeczywistego publicznego dobra, jakim miało – zdaniem tak wielu – zaowocować to makabryczne, a zarazem pełne symboli zdarzenie.

26 Por. tekst na Internetowym Forum Policyjnym.